GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok V — Nr. 19 | Poznań, dnia 15 grudnia 1935 | Cena 20 gr

Tadeusz Grabowski, Poznań

Czy Śląsk posiadał własną literaturę?

Zbadanie rozwoju literatury polskiej w dzielnicy śląskiej stanowi niezaprzeczenie ważny postulat rozbudowującej się dziś polskiej wiedzy o Śląsku. Doceniała oddawna ważność tej wiedzy nauka niemiecka, by zdobyć się ostatnio, poza nieprzejrzanym wprost zasobem wydawnictw materjałów, dzieł monograficznych, rozpraw, szkiców naukowych i popularnych, już na siedmiotomową „Schlesische Bibliographie" z lat 1927—34. Uwzględniono w niej oprócz przyrody prehistorję, historję, etnografję śląską. Zdobyto się i na syntezę dziejów literatury śląsko-niemieckiej, gdzie, ignorując niezbyt zresztą duży naukowy dorobek polski, ujęto nader jednostronnie wiele poszczególnych zjawisk tej literatury.

Nie da się zaś zaprzeczyć, że rozległy dorobek niemiecki naukowy zawiera w sobie bardzo wiele materjału, mogącego posłużyć do tymczasowej choćby syntezy literatury polsko-śląskiej. Przy wielu momentach daje się jednak odczuć brak prac wstępnych, a i ograniczenie się do drukowanego materjału nie wpływa dodatnio na wyniki pracy. Niemniej pragnienie posiadania takiej syntezy istnieje choćby dla celów informacyjnych i orjentacyjnych. Chodzi tu zaś o obszar niewątpliwie narodowo mieszany. Możnaby na nim wyróżnić pisarzy pochodzenia polskiego, piszących po łacinie lub po polsku, niemieckiego, piszących po łacinie lub po niemiecku na tematy polskie, polskiego, piszących tylko po niemiecku, ale w duchu zauważonych nawet przez badaczy niemieckich cech rasowych.

Najbardziej interesującą jest oczywiście pierwsza kategorja, choć i tamtych nie można chyba przemilczeć. Średniowiecze da się zaś podzielić na działy, jak hagjografja, historjografja, poezja, wreszcie nauka, i traktować, przynajmniej w pierwszych trzech wiekach, w ramach ogólnej literatury polskiej. Opiera się ona jeszcze o związek kulturalny, co przetrwał podziały dzielnicowe i granice polityczne, gdyż stanowiły go jedna mowa i obyczaj, organizacja kościelna, tradycja polityczna, wspólnota literacka. Odszczepieństwo poczyna się na szczytach hierarchji duchownej i w zakonach, na dworach książęcych, w patrycjacie miejskim i wśród osiedleńców wiejskich. Odrębność dzielnicy pogłębia się przez emancypację szkół miejskich i wpływy kancelarji i wszechnicy praskiej, choć w końcu średniowiecza te wpływy neutralizuje poniekąd promieniowanie studjum krakowskiego. Śląski humanizm zasila się przypływem humanistów niemieckich, a reformacja pogłębia rozłam, gdyż osłabia hierarchję i stwarza szkoły, współzawodniczące zwycięsko z wpływami krakowskiemi.

Hagjografja wiąże się oczywiście całe wieki z polską, ujawniając wkońcu jakby dążenie do pogłębienia kultów miejscowych. Nie oznacza to przecież wyodrębnienia, skoro kościół broni niewątpliwie polskości i stanowi długo czynnik niezależny dzielnicy. Legenda wyrasta na gruncie zakonnym cysterskim i uderza, skoro chodzi szczególnie o św. Jadwigę, przewagą żywiołu historycznego, systematyką w kompozycji, formą daleką od retorycznych efektów. Postać świętej rysuje się wcale wyraziście. Gorzej powiodło się z innemi współczesnemi legendami o błog. Czesławie i błog. Bronisławie, które ustalono nader późno. Coś z elementów legendy tkwi i w przekazach kronikarskich o Piotrze Włostowicu, które ustalają się w prawie już humanistycznej redakcji.

Jeżeli w hagjografji śląskiej w. XIII ujawnia się pewna współpraca polska i niemiecka, to historjografja stanowi wprost jakby odgałęzienie polskiej, choć miejscowe sprawy wymagają dokładniejszego upamiętania dzielnicowej przeszłości, tak w ramach roczników jak i kronik. Świadomość państwowej jedności jest tu chyba żywsza, niż w czysto ascetycznej i jakąś pozaświatowością tchnącej legendzie. Również zjednoczenie państwa po wiekach podziałów wpływa na nastroje inkorporowanej do państwa czeskiego dzielnicy. Poza nieznaną i nieznanego autora kroniką śląsko-polską istnieją obok mniejszego znaczenia kronik klasztornych dwie inne. Tworząc jakby kontynuację mistrza Wincentego, ale bez jego encyklopedycznej uczoności i literackich umiłowań, wydają się one być wyrazem niezależnych dążeń książąt panujących na Brzegu, a druga z nich wiąże się dość wyraźnie z polityczną postawą Janka Z Czarnkowa.

Autorem „Chronica principium Poloniae" z r. 1382—1398 był, jak stwierdza to i nauka niemiecka, tylko Polak, wyrażający może życzenia pewnej części kapituły wrocławskiej, górnośląskiego rycerstwa, wreszcie kół dworskich. Usposobiony niechętnie do obcych, teokrata z zasady, stwarza rodzaj Wincentowego zwierciadła dla dobrych książąt, przestrzegając zwięzłości jakby rocznikarskiej i dramatyzując jedynie mocno obchodzące go sprawy. W końcu średniowiecza wzmaga się w walkach z husytami poczucie śląskości, co nie oznacza zbliżenia z macierzą. Humanizujący kronikarze pochodzą z wyższego kleru i klasztorów, a szczególnie z niemieckiego stanu miejskiego, co za reformacji owłada szkołą, a więc i kulturą w każdym kierunku.

W poezji śląski dorobek był więcej znanym z polskich syntetycznych opracowań tego przedmiotu. Widać, że żywioł polski dobijał się głosu w poezji metrycznej i rytmicznej, która szczególnie w latach ostatnich zwróciła uwagę. Zachodzą metra w rocznikach i kronikach, znajdują się w kościołach i na kamieniach grobowych, niosąc treść duchowną lub świecką. Są też ślady epoki i epigramatyki o charakterze chronologicznym, jaki zaznacza się i w niemieckiego pochodzenia, a nader niepoprawnych heksametrach lubiaskich. Opierają się one o zaginioną kronikę krakowską, mają charakter nieprzychylny polskiemu żywiołowi, lekceważą iloczas, a rymem zbliżają się do tak znanego u nas leoninu.

Jeżeli poezja metryczna nie udała się zbytnio, rozwój rytmicznej już w w. XIII odpowiada pogłębionemu życiu religijnemu i roli w niem kobiet. Miejscem tej poezji były księgi liturgiczne, gdzie szczególnie w brewiarzach klasztornych, znajdujemy obok hymnów o św. Wojciechu lub św. Stanisławie, także hymny na cześć św. Jadwigi. Świadczy o tem brewjarz żegański z w. XIV i XV, gdzie autorowie zwracają się do patronki Śląska, jako do polskiej księżnej:

Coeli sonant, nos canamus,
Laetetur Polonia.
Generosae recolamus,
Ducissae solemnia.

Inny hymnolog każe Polsce cieszyć się z posiadania podobnego klejnotu, a w oficjum na cześć świętej nie brak i wzmianki o Henryku Pobożnym i Lignicy. Ślady jej kultu są i w polskiej hymnologji.

Polska poezja śląska jest oczywiście poezją ogólnopolską. Śląsk pośredniczy chyba w przenoszeniu i przerabianiu czeskich pieśni religijnych. Zdaje się o tem świadczyć też istnienie polskich pieśni, z których jedna jest pochodzenia czeskiego, w sięgającej średniowiecza grze wielkanocnej, której podobnych jest wiele w śląskim repertuarze. Jest to prymitywne oficjum kościelne z franciszkańskiego brewjarza w Nissie, które przeplatają pieśni „Chrystus z martwych" i „Trzy Marje poszły". Pobudkę do wprowadzenia podobnych pieśni do oficjum dały chyba przykłady czeskie z w. XIV i XV. A pierwsza z pieśni była tak popularna, że cytowano ją i w kazaniach. Z innych zabytków trzeba wymienić, obok glos, zachodzących w łacińskich postyllach z XV w., przekładu Salve Regina, inne redakcji Skargi umierającego, także i powstały, jak niedawno dowiedziono, choćby częściowo w bliskim czeskim rubieżom klasztorze kanoników regularnych w Kłocku Psałterz Flirjański. Jeżeli literatura śląsko-niemiecka uważa Psałterz Trzebnicki za najważniejszy zabytek niemieczyzny drugiej połowy w. XIV, to polski, stworzony chyba pod wpływem czeskim, nie jest od niego późniejszy.

Zabytków poezji świeckiej dotąd nie znano. Było ich chyba niemało, może też pod wpływem czeskim. Stojący, zdaniem niemieckich badaczy, niżej kulturalnie Śląsk Górny, wydał franciszkańskiego czeskiego kaznodzieję, pochodzenia najprawdopodobniej polskiego, Mikołaja z Koźla. Zbierał on kazania, traktaty moralne, przysłowia, a nadewszystko pieśni łacińskie, czeskie niemieckie, stanowiąc jakby rodzaj pośrednika między literaturami na początku w. XV. Zapisał i pieśń polską, zbudowaną z siedmiosgłoskowych trójwierszy, o niewątpliwym krotochwilnym humorze, ciekawej metaforyce i o tonie jakby ludowym. Jest ona zapewne pieśnią wagancką i chyba lepszą od wielu znanych polskich pieśni świeckich wieku XV.

W dziedzinie filozofji dzielnica śląska zadzierzga poniekąd pierwsze związki z zachodem i południem romańskiem. System scholastyczny, jak i antyscholastyczny ustala się niewątpliwie w wysoko stojącej szkole katedralnej wrocławskiej. Uprawiano w niej już w XII w. prawo kanoniczne, jak dowodzi kanonik Wawrzyniec. A wykład filozofji i orjentacja w jej zagadnieniach także w całej grupie uczonych wskazują, że nastroje były bliskie padewskim. Schodziło się to i z postawą Wincentego, który nie stronił od dialektyki, i kanonika Piotra, który znów przepisywał w Krakowie pierwszego summistę Wilhelma z Auxerre. A ten uświadamiał już sobie antytezę rozumu i wiary, co przypomina polemiki wieku renesansu.

Witelo łączy zaś w sobie jakby dwie dyscypliny, uprawiane na Śląsku, a więc prawo i filozofję z dodatkiem przyrody, i stoi jakby między św. Tomaszem i Bonawenturą. Ulega wpływom paryskim, gdzie krzyżują się racjonalizm i mistyka, choć scholastyka krzepi się już przez związek z filozofją arabską i bizantyńską. W tym ruchu biorą udział i zakony, choć Witelo jest świeckim duchownym. Jeżeli Wincenty znał tylko Jana z Salisbury jako wyraziciela pierwszego okresu scholastyki. Witelo wchodzi w atmosferę drugiego i styka się z tymi, co, jak Moerbeke, pośredniczą w wymianie wartości myślowych z zakresu filozofji czy przyrodoznawstwa antyku. Nie jest sam skoro współcześnie myśli się już o reformie szkoły lignickiej, gdzie byłyby wykładane nauki logiczne i naturalne.

Wiek XIII interesował się też nieco i tak popularną później kosmografją. Rozszerzały się bowiem wiadomości o świecie na skutek wypraw krzyżowych i misyj wschodnich. Inwazja mongolska, po której nastąpiło rozpadanie się imperjum, co długo jeszcze poczytywało Polskę, Węgry i Bałkan za kraje przeznaczone dla podboju, otworzyła też oczy na wschód. W r. 1245 wyruszają zatem misje dominikańskie i franciszkańskie do wnętrza Azji. We franciszkańskiej bierze udział Benedykt Polak. Jaki jest jego udział w dzienniku Jana de Plano Carpino, trudno określić. Dla misji był on chyba potrzebny, skoro obok polskiego i łaciny znał może i język ruski. Zmysł obserwacyjny jest zaś w tym dzienniku niemały, tak, że może współzawodniczyć z relacją z r. 1253 Wilhelma z Ruysbrock.

W ogólności jest literatura średniowieczna polsko-śląska współzawodniczką niemieckiej w walce o wyraz duszy dzielnicy. Oparta o polską, czerpie z niej siły i podniety przez kilka wieków, choć nie da się zaprzeczyć, że dokonywa się tu i współpraca ras na każdem polu. Rozgraniczenie ich jest często niemożliwe. Ale udział żywiołu polskiego jest niewątpliwy i wyrazisty. Ten udział słabnie widocznie w końcu średniowiecza wskutek postępującej germanizacji warstw, stojących wyżej kulturalnie i poczuwających się do wspólnoty z niemieckością. Wnoszą one inne wymagania stylowe, czyli wysoką technikę humanistyczną. Literatura polska jest zepchniętą na poziom raczej piśmiennictwa ludowego. Rozwijała się ona na wyższym poziomie jedynie do czasu, w którym osłabła inicjatywa czynników kościelnych, a rozwinęła się i przyszła do głosu miejska warstwa świecka, gdy w Polsce objęła tę rolę szlachta.

Konstanty Dobrzyński, Łódź

Prometeusze

Przywódcom ruchu narodowego.

Tłukły Wam się serca o ostrza krat —
krwawiły...
jak za dawnych lat
tamtym... wśród stęchlizny zgniłej,
gdy był Sybir i bat!...

Długie, ponure noce,
długie, upiorne rozpaczą,
gdy bunt piecze, piecze stygmatem nad głowami
kracząc,
gdy ból kreśli na ścianie koszmarną sylwetkę —
ból... ból, co w pomroce
rozpala ogniem rdzawe ruszta krat;
za niemi brat... Wasz brat

O... ostrze długie, złowrogie i lśniące,
jak żądło zdradne w rozwścieczonej szczęce,
co twórcze ręce,
serca i dusze przeszpilić Wam chciało...
Rozorać słońce...
O... ostrze długie, ale go za mało!...
O... ostrze wściekłe, ale go nie starczy,
by mogło sięgnąć Waszej, złotej tarczy!...

Szaleni!
Chcieli Wam wyrwać z serca baśń tęczową,
myśleli może, że wśród wilgnych cieni
znicz duszy Waszej gdzieś u kraty skona —
na spierzchłych wargach zastygnie Wam słowo!...
Ha!... Ha!...

Toż łatwiej Tatry udźwignąć w ramionach...
Kipiący wulkan zalać kroplą wody...
Bezmiar wód wszystkich zmienić w stepy suche —
niźli Wam serca okiełznać łańcuchem!

Tam w ciemnych lochach nie byliście sami,
O nie!
Kłamała pustka i głusza kłamała —
myśmy tam byli... była Polska cała.
Za złowieszczemi, czarnemi kratami
miljony uczuć, dusz i drgnień serdecznych
obrały sobie wraz z Wami siedlisko.
I było wszystko...
Wszystko, co tylko do duszy Polaka
wlał kiedyś w mrocznych pratworzenia szlakach
Przedwieczny!...

Patrzcie! Nam dłonie palą się do czynu,
z dyszących piersi serce chce wyskoczyć
i gorą oczy...
Widzicie twarze roboczego gminu
co drga jak łuku naciągnięta struna?...
Słyszycie burze w naszych piersiach grzmiące?
Każcie — a ziemię rozpalim w piorunach!...
Czas okiełznamy!... — Ujeździmy słońce!...
Każcie! Powiedzcie! — nas nie straszą kraty,
ni ciemnie lochów, ani kazamaty.
Krata nam ogniem tak duszę rozpali,
że jak Wy będziem czyści, doskonali.
I grzmotniem pięścią, my — czarna hołota...
w bliskiego jutra szafirowe wrota!

Taniec maszyn

Motto: Duszę człowieka okradziono z nieba —
dano mu wzamian koła, pot i tryby.

Siostry, siostrzyce zawiedźmy tan,
zanućmy pieśń...
siostry, siostrzyce! Przez mroków pieśń
wypłyńmy z pustych hal —
tam w dal...
na ulicę
na zimnych bruków wyszarzały łan...
siostry, siostrzyce
zawiedźmy tan, piekielny tan...

Powiążmy się za ręce, zatoczmy szalone kolisko,
niech wszystko pędzi, wiruje wszystko —
szybko, prędzej salfaktory,
krosna, kotły i motory,
tryby, zęby, węże pasów —
prędzej, prędzej — niema czasu:
niech się wszystko rozszaleje,
zakotłuje i zazgrzyta...
nim zadnieje
b r z a s k!...

Patrzcie! tam człowiek co za dnia nam służył,
legł na barłogu, w śnie szuka wytchnienia,
Człowiek, — ha, ha! p a n s t w o r z e n i a!...
pomiot, kał, nędzny, co przed nami zniża
trzaskającego zgięty kabląk krzyża...
Cyt... tu ostrożnie... tu stoi kołyska...

Hej! wara mi tam... kto tam kłami błyska?
Precz!... zdala od niej, niech się nikt nie waży
dotykać dziecka uśmiechniętej twarzy!...
Niech się wpierw słońca naje i napije,
niech skrawek nieba zagarnie do duszy...
Ha!... niech dojrzeje, zanim mu na szyję
zarzucim macki, zanim z krwi wysuszym!...
Niech się wpierw w jasnym wykąpie błękicie,
niech się zrumieni jak owoc dojrzały —
nim go pochwycą nasze tryby, wały...
wtłoczą się w serce i wypiją życie, —
ale na ojca... rzućmy się pospołu —
miljontonowym ciężarem na płuca,
gryźmy go, szarpmy, od góry do dołu;
O! o, już jęczy, już się wije, rzuca...
Prędzej! Nie dajmy furji się ostudzić!
Hej! — rwijmy z jego chorych nerwów włókna
ciągle, lecz wolno, aby go nie zbudzić —
z włókien uprządźmy taką sztukę sukna,
od której ciało Lucypera spłonie...
Patrzcie! — już potem spěrliły się skronie...
ha... zimnym potem.
Dalej, na duszę, na serce i mózg —
zahuczmy młotem!...
zatańczmy nad nim czeredą pijaną
chłoszczmy miljonem ognistych rózg...
szaleństwem piekieł...
Bliżej, do łóżka! Jeszcze bliżej — ciaśniej,
rzygnijmy jadem, od którego zgaśnie
świat jego marzeń;
niech jego usta okryją się pianą
krwawiącej śliny.
Nasypmy w piersi żrącego zarzewia...
Hej!... my maszyny
okręćmy szyję w kurzące się trzewia,
strzaskajmy w trybach jego kruche kości...
Niech trzeszczą stawy...
Niech skomli, niech wyje...
Niech czarę męki do końca dopije...
Hej!... my maszyny, my władcy ludzkości,
plunmy ze wzgardą w jego wzrok kaprawy —
przecież gdy słońce ozłoci nieb stropy,
przyjdzie znów do nas i poliże stopy.

Siostry, siostrzyce, zawiedźmy tan,
zawyjmy pieśnią rozhukaną,
co drży jak grzmot zdaleka,
przez gęsty mroków chmurny łan —
nad ścierwem, co miało miano
c z ł o w i e k a.

Ludwik Jaxa Bykowski, Poznań

Obywatelstwo akademickie

(Dokończenie)

Oto, jak prof. Balzer scharakteryzował zasługi lwowskiej Bratniej Pomocy na obchodzie 30-lecia statutowego istnienia (w r. 1895): „Była dla szeregu generacyj studenckich szkołą — nietylko serc, krzepiąc pośród nich współczucie dla niedostatku, potęgując ideę koleżeńskiej pomocy dla biednych, ale też była szkołą charakterów, ucząc ich solidarności: nie tej, która jest wspólnością działania jednostek równie silnych, ale tej lepszej i trudniejszej, a przez to tem cenniejszej, w której dla osiągnięcia wytkniętego celu silniejsi podają rękę słabszym, ażeby dojść tam nietylko sami, ale wspólnie z tamtymi, którzy bez nich możeby tam nie doszli; tej solidarności, która w życiu każdego narodu, a naszego przedewszystkiem, jest rzeczą najpożądańszą, która prócz elementów silnych pociąga do pracy społecznej elementy słabsze i przez samo już cyfrowe zwiększenie zasobu pracowników, pracy tej zapewnia skutek wydatniejszy". Słowa te mimo zmienionych warunków i dziś nie straciły swego znaczenia, owszem w pełni wszędzie obowiązują.

Mówić więc o wartości i znaczeniu organizacyj tego typu nie potrzeba, zwłaszcza w dzisiejszych kryzysowych czasach, natomiast warto parę słów poświęcić ich powszechności. Powinny one obejmować całą młodzież akademicką, nie tylko tych, którzy pomocy potrzebują. Owszem ci, którzy są dostatecznie sytuowani i pomocy materjalnej nie potrzebują, mają obowiązek do Bratniej Pomocy należeć, a nawet w niej czynnie i kierowniczo pracować, ażeby zapewnić bezstronność i bezinteresowność pracy i uczynić zadość równowadze i sprawiedliwości społecznej wobec własnego uprzywilejowania. Zresztą te zalety moralne, na jakie Balcer zwraca uwagę, dotyczą w równej mierze wszystkich ,więc nawet wybrańcy fortuny odnoszą korzyść duchową.

Z natury tego towarzystwa wynika, mojem zdaniem, że powinno być jedno dla ogółu młodzieży danej uczelni, wtedy bowiem działalność jego może być silniejsza i sprawiedliwsza, jeżeli jednak poważne względy spowodują zróżniowanie, natenczas wszelkie organizacje samopomocowe powinny harmonizować swą pracę, a nie rywalizować i przeszkadzać sobie. Zwłaszcza niepożądane uważam drobne, lokalne lub zawodowe grupki, wprowadzające w swój program nieraz zadania charytatywne, osłabiają one źródła materjalne organizacyj ogólnych, podrażają administrację, a nadto stają się łatwo polem żeru spryciarzy, polujących na zasiłki z różnych źródeł ze szkodą prawdziwie potrzebujących.

Stanowisko przejściowe zajmują stowarzyszenia poświęcone kulturze fizycznej, jak związki sportowe ogólne i specjalne, przysposobienia wojskowego i rozrywkowo - towarzyskie bez głębszej myśli ideowej i poważniejszej twórczości. Co do tych ostatnich mam silne wątpliwości, czy nawet w razie poważnych wysiłków umysłowych w realizowaniu swej pracy, jak np. w klubie szachistów, nie wykraczają one poza zakres pojęcia stowarzyszenia akademickiego, powodując raczej rozproszkowywanie, niż organizowanie, — czy więc raczej nie powinny być sekcjami akademickiemi stowarzyszeń ogólnych uprawiających daną dziedzinę.

Innego rodzaju przejścia stanowią łączące w swoim programie zadania z obu dziedzin, jak niektóre stowarzyszenia zawodowe lub regjonalne.

IV.

Bardzo duże zróżnicowanie ujawnia się w dziedzinie stowarzyszeń pracujących na polu kultury duchowej. Rzecz charakterystyczna, że poza Lwowem ze swą Czytelnią Akademicką, utrzymującą, acz w zmniejszonym zakresie dawne tradycje, inne ośrodki życia akademickiego nie posiadają stowarzyszeń tego typu o harakterze ogólnym. W Krakowie Czytelnia dawno upadła, w Poznaniu pragnęły podobną rolę odegrać „Promethidion", a później „Związek miłośników kultury", próby jednak z rozmaitych powodów nie powiodły się. Organizację taką zastępowały w pewnym stopniu organizacje zbiorowe, w pierwszym rzędzie Komitety Akademickie, związki kół naukowych danego środowiska, niestety nowa ustawa akademicka i oparta na niej taktyka najwyższej naszej magistratury szkolnej rozbiły prawnie i tę formę organizacji. Stanowisko to czynników decydujących jest rzeczywiście zagadkowe, przecież chyba wszystkim patrjotom powinno zalażeć na tworzeniu jednej. wspólnej kultury polskiej, którąby zdobyła wszelkie plemiona i narodowości wewnątrz państwa, promieniowała na pobratymcze ludy na zewnątrz. Przecież, jeśli w dziedzinah kultury materjalnej pożądane jest sharmonizowanie ogółu, to tem bardziej należy dążyć do scalenia duchowego. Tymczasem cała działalność kierowniczych czynników idzie w przeciwnym kierunku, jakgdyby komuś zależało na rozproszkowaniu Rzeczpospolitej Akademickiej i hodowli separatyzmów i podwórkowości, a ideałem był stan, gdzie „każdy sobie rzepkę skrobie". Wydaje mi się, że stworzenie organizacji obejmującej całokszatłt zasadniczych zagadnień naszej kultury, gdzie mogłyby się ścierać różne poglądy i przekonania, gdzie rozmaici fachowcy mogliby prostować nieścisłości i błędy, wyrabiałoby szerszy pogląd, krytycyzm, chroniłoby przed doktrynerstwem, ciasną jednostronnością, a może ułatwiło wzajemne porozumienie przeciwników. Oczywiście warunek wartości i powodzenia, to prowadzenie rzeczowe i bezstronne pracy.

A teraz cały szereg stowarzyszeń o zadaniach specjalnyh. Wymieniamy ważniejsze grupy. Przedewszystkiem k o ł a n a u k o w e. Wiąża się one najbliżej z bezpośrednią działalnością uczelni, zahaczają zwłaszcza o seminarja i konwersatorja. Mimo pokrewieństwa jednak, inne są cele i zadania. Koła winna cechować większa swoboda, koleżeńskość oraz zbiorowość pracy. Więc w pierwszej linji serdeczna opieka nad młodszymi, zwłaszcza nowowstępującymi. pomoc duchowa w sposobie prowadzenia studjów, uzupełnienia potrzebnego przygotowania, rozwiązania nasuwających się trudności i zawiłości, czasem dyskretne skierowanie na właściwą drogę pracy naukowej, zawodowej, a może nawet zorganizowania nie tylko pracy, lecz i całości życia. Dla starszej generacji członków poza tą pedagogiczną pomocą młodszym, dają koła naukowe możność łatwiejszego i szerszego objęcia wybranej gałęzi wiedzy drogą podziału pracy i swobodnej wymiany zdań, a nadto, przy dostatecznem zgraniu i harmonji upodobań, zbiorowej pracy naukowej w ścisłem znaczeniu przy opracowywaniu jakichś obszerniejszych tematów. Praca tedy idzie tu w dwóch kierunkach: jeden — to pomoc koleżeńska przy wprowadzaniu młodszyh kolegów w samodzielną pracę naukową, drugi, — to zbiorowa praca samokształceniowa i badawcza bardziej wdrożonych. Zależnie od tętna życia naukowego danej organizacji przeważa ten lub tamten kierunek, rzeczą kierownictwa jest utrzymanie właściwej równowagi.

Inny typ przedstawiają t. zw. o r g a n i z a c j e i d e o w e, będące odpwoiednikiem pewnych prądów ideowych, politycznych, społecznych, religijnych, nurtujących wśród społeczeństwa. Grupują one zwolenników tych samych myśli i haseł, a ich celem dokładniejsze poznanie całokształtu systemu danej ideologji i apostolstwo jej w coraz szersze sfery. Jest to więc praca wychowawcza na szeroką skalę w określonym kierunku, a z kolei propaganda tych idei przynajmniej przez wybrańców. W pracy tej trzeba bardzo baczyć, by wychowania nie zastąpić tresurą, bezmyślnością, by nie wpaść w doktrynerstwo, jednostronność i niesprawiedliwość wobec przeciwników. Uważam np. za wielki błąd, gdy jedno z czasopism młodzieży przed laty ostrzegało swych czytelników przed lekturą dzieła jednego z przeciwników, zalecając natomiast lekturę surowej krytyki tegoż dzieła. A w pracy apostolskiej baczyć na środki; przemawiać do rozumu i serca, a nie fałszywej ambicji, lub ... kieszeni.

Wszystkie przedstawione dotychczas typy stowarzyszeń nastawione są na pracę masową, ilość członków świadczy o wpływach, znaczeniu i sile towarzystwa. Jasna rzecz jednak, że w związku z przyrostem ilości członków słabnie więź łącząca, wpływ organizacyjny staje się mniej głęboki, nawet węzły koleżeństwa nie mogą być tak silne, jak w grupce małej.

Spotęgowana frekwencja w szkołach akademickich po odzyskaniu niepodległości przekroczyła granice pojemności zakładów naukowych i zmusiła do wprowadzenia numerus clausus przynajmniej na niektórych wydziałach. Ale wywarła też wpływ na życie koleżeńskie i organizacyjne młodzieży. Rozwinął się nowy typ organizacyjny, mianowicie k o r p o r a c j e. Ich zasadą jest jaknajbliższe i najserdeczniejsze zżycie się koleżeńskie i praca wedle określonej ideologji w małych grupach. Oczywiście szczupłość pojedynczych zespołów umożliwia gruntowność pracy wychowawczej, a że karność statutowo wchodzi do podstaw korporacyjnego wychowania, przeto w szybkim czasie, mimo swej młodości, organizacje te niejednokrotnie nadawały ton w występach młodzieży. Przed wojną ten typ stowarzyszeń nie był znany w uniwersytetach polskich. We Lwowie w latach 70-ych za inicjatywą śp. Stanisława Starzyńskiego powstała wprawdzie korporacja „Leopolja", opanowana jednak przez żydów przestała być organizacją polską. Owszem od czasu prowokacyjnych wystąpień w 1897 r. wprost bojkotowana przez Polaków. Natomiast rozwijały się korporacje na uczelniach obcych, gromadzących znaczniejszą ilość Polaków, mianowicie w Dorpacie i Rydze. Dziś istnieją we wszystkich ośrodkach akademickich, często obok celów ogólnych, stawiając sobie specjalne zadania np. troska o sprawy morskie, akcja na Mazurach, opieka nad wychodźtwem, kontakt z Słowiańszczyzną zachodnią, praca w lotnictwie, myśliwstwo, szermierka itd. Uważam takie postawienie celów specjalnych za nader pożądane, dodające wartości całej pracy.

Inny wreszcie typ to K o ł a r e g j o n a l n e (prowincjonalne). Powstały one z myślą utrzymania w kontakcie między sobą i z rodzinnemi stronami wychowanków szkół określonego terytorjum. Nowa ustawa akademicka utrudniająca istnienie towarzystw międzyuczelnianych, osłabiła ich żywotność. Cele ich bywają nieraz rozmaite, kładąc nacisk na koleżeństwo, albo pomoc materjalną, albo regjonalizm. Uważam, że główna ich działalność powinna być przeniesiona do rodzinnego środowiska i poza celami regjonalistycznemi kultywować przywiązanie do tej ojcowizny nietylko w czasie studjów akademickich, ale i później w pracy zawodowej bez względu na miejsce, dokąd los rzuci. Oczywiście organizacja taka wychodziłaby poza ramy stowarzyszenia akademickiego i musiałaby mieć zatwierdzenie statutowe władz administracyjnych.

V.

Ostatnio podany typ organizacyjny wiąże się z zagadnieniem pracy społecznej poza obrębem życia uczelni. Przedewszystkiem znów pewna forma przejściowa w postaci akademickich oddziałów ogólnych stowarzyszeń, jak towarzystwa oświatowe (Macierz Szkolna, TCL., TSL.), (np. T-wo Krajoznawcze), sportowe, Sokół, Strzelec, Harcerstwo, Sodalicje, L. O. P. P., partje polityczne itd. O ile statuty przewidują współudział młodzieży, nie można oczywiście zamykać do takich organizacyj dostępu. Osobiście uważam jednak, że oddziały tego rodzaju powinny być formowane na zasadzie ogólnej ustawy o stowarzyszeniach, a nie o szkołach akademickich. Przezto unika się możliwych kolizyj rozporządzeń i konfliktów władz, ale co ważniejsze, nie tworzy się sztucznych przedziałów, nie przeszkadza „rozumieniu warstw". (czego tak się obawiał p. minister J. Jędrzejewicz), owszem zaciera „granice kast". A już bezwzględnie winno się zachować sprawiedliwość i utrzymać jedną miarę wobec wszystkich organizacyj, a nie kierować się jakimikolwiek sympatjami lub uprzedzeniami.

Jeżeli zaś chodzi o pracę szerszą, wychodzącą poza ramy życia akademickiego, to tu może najwięcej spotykamy zastrzeżeń. Szujski w swej mowie rektorskiej wyraźnie o tem mówi: „Bądźcie baczni na głosy, które w imieniu uczuć polskich wzywają was do udziału w sprawach, poza granicę działania i życia uniwersytetu wychodzących. Miejcie tę wstrzymięźliwość, która mówi sobie: wystąpię jako mąż skończony i dojrzały, wystąpię wtedy, gdy mi nikt nie będzie mógł powiedzieć: przedwcześnie!". Nie był to głos odosobniony, owszem była to bardzo szeroka, niemal powszechna opinja starszego społeczeństwa, zwłaszcza tych, co z poczynań młodzieży byli niezadowoleni. Oczywiście chodzi tu o działalność mniej lub więcej polityczną.

Inaczej się na tę sprawę zapatruje. Nietylko dlatego, że, jak uczy historja i doświadczenie teraźniejszości, starania prohibicyjne idą na marne, a jeśli czasem chwilowo się udadzą, to właśnie i tylko wśród najmniej produktywnej generacji. Stawianie zatem sprawy w ten sposób jest samołudzeniem się i chowaniem głowy w piasek. Ale są ważniejsze powody zasadnicze.

Przecież, jeżeli może się temi sprawami interesować i brać w nich udział z pożytkiem młody człowiek o niższem wykształceniu, dlaczego nie miałby tam pracować młodzieniec zdolny z natury i wyżej wykształcony, jakim jest student uniwersytetu? Dlaczego miałby być obojętnym dla tych spraw, które tak żywo poruszają całe społeczeństwo, a co najwyżej biernym widzem? Wszakże to nie godzi się z wrażliwą, lotną i uczuciową psychiką młodzieży, a podobny postulat, zresztą nierealizowany, może tylko rodzić nieufność i niechęć między starszem a młodszem pokoleniem.

(Ciąg dalszy na str. 4).

Konstanty Dobrzyński, Łódź

ROBOTNIKU SZARY

Do ciebie mówię szary robotniku!
Słowa me szorstkie, jak szkarpy granitu,
Bom je kształtował w serdecznych mąk krzyku,
W chaosie szału i rozpaczy zgrzytów.

Jeśli me słowa tak zakipią bólem,
Aż krwi łachmanem słońce nagle spłonie —
Niech się nie dziwią giełd i trustów króle,
Przesuwający wypieszczone dłonie
Po brzuchu krągłym, spasionym i gładkim. —
Jam ból ten wyssał z wyschłej piersi matki!...

Nie umiem bawić brzmiących słów muzyką,
Lecz powiem z serca, jak czuję, jak umiem...
Nam tylko znanym dławionym językiem.
Ty mnie rozumiesz!...

— — — — — — — — — —

...precz z drogi zgrajo błyskająca złotem!
W proch! Na kolana! Łbem uderz o bruki!
Ej! Wy niesyte, krwią pijane kruki,
Zegniicie w hołdzie utuczone krzyże...
Niżej!...

Bo oto idzie, roszące krwią i potem,
Zastęp widm szarych o ściemniałych twarzach,
Co kosztem życia uwieńcza wam skronie.
Nuże na pyski przed pracy ołtarzem —
Znękane, czarne ucałujcie dłonie!!...

— — — — — — — — — —

Widzę!!!
Już błyska odblask jutrzni złotej
Na horyzontach już się palą łuny —
Gdzieś wewnątrz ziemi drżą straszliwe grzmoty,
Czają się w chmurach błyskawic pioruny...
Iskra!!!
I buchnie ogień kryształowy
Z stugromnym hukiem! Wichrami płomieni!
Ciemność... Łzy... Rozpacz... w kupę gruzów zmieni
I świt powstanie cudny! P o l s k i N o w e j!

— — — — — — — — — —

I wstaną blaskiem jaśniejące czasy,
Że już nie będziesz w ojczyźnie parjasem,
Natężysz płuca radości okrzykiem,
Aż niebo przedrze pieśń triumfem brzmiąca,
I wtedy razem, szary robotniku,
Pójdziem na podbój promiennego słońca!...

Sobieski*)

6

Jak to dobitnie określił Rolicki**) — ostatnim królem polskim był Jan III Sobieski.

O polityce Jana Sobieskiego panuje w opinji szerokiego ogółu wiele wyobrażeń najzupełniej błędnych. Uważa go się za władcę bez wyraźnej linji politycznej, — dzielnego wodza, ale nietęgiego męża stanu. Nieraz zarzuca mu się nawet, że jego wyprawa wiedeńska była czynem nieprzemyślanym i niezgodnym z interesem politycznym Polski.

Wszystko to są poglądy niesłuszne. Do ich rozpowszechnienia zapewne w niemałej mierze przyczyniła się tendencja masońska.

Jan Sobieski miał wprawdzie swoje słabostki i nie był wolny od popełniania politycznych błędów. Ale w zarysie ogólnym — był postacią dziejową wielkiej miary. Cała polityka tego niezwykle zdolnego i wszechstronnie wykształconego króla była przemyślana i konsekwentna, — była polityką w wielkim stylu, godnie kontynuującą poczynania polityczne królów z epoki mocarstwowej. Że się załamała, że nie dała oczekiwanych wyników — to już nie jego wina.

Dążeniem jego nawewnątrz było ugruntowanie władzy królewskiej i wzmocnienie państwa. Dążeniem na zewnątrz była z jednej strony aneksja Prus Książęcych (czemu poświęcał wiele uwagi w swojej polityce zagranicznej, w tym celu współdziałając z Francją, oraz na dłuższe okresy czasu przerywając walki z Turcją), — z drugiej strony pokonanie Turcji i rozwiązanie w myśl interesów polskich kwestji wschodniej.

Wysiłki w tej ostatniej sprawie wypełniły większą część jego życia. „Kwestja wschodnia", która od czasów Kazimierza Jagiellończyka pochłaniała uwagę polityki polskiej, była wówczas istotnie sprawą pierwszorzędnego dla Polski znaczenia.

Turcja znajdowała się wówczas u szczytu potęgi. Stanowiła ona dla Polski groźne niebezpieczeństwo. W roku 1672, na dwa lata przed wstąpieniem Sobieskiego na tron, zagarnięta została przez Turków jedna z dzielnic Polski: kresowa ziemia Podolska wraz z ważnem polskiem miastem: Kamieńcem Podolskim. Mimo wytrwałych wysiłków, nie udało się Sobieskiemu bolesnej tej straty odzyskać; dopiero następcy jego zebrali owoce jego pracy: Kamieniec i Podole wróciły do Polski dopiero w roku 1699, — w trzy lata po śmierci Sobieskiego.

Trzeba nie mieć pojęcia o historji Polski, by twierdzić, że sprawa wiedeńska nie leżała w interesie Polski. Turcja była wówczas groźnem dla Polski niebezpieczeństwem, — była zresztą zaborcą części ziemi polskiej. Trzeba było z Turcją walczyć — i w walce tej szukać sprzymierzeńców. Bijąc Turków pod Wiedniem, osłabiało się potęgę ich, trzymającą w garści Kamieniec.

Zresztą — gdyby się ich pokonać pod Wiedniem nie udało, zapewne niedługo byliby się pojawili także na Morawach i na Śląsku, tem samem opasując Polskę od zachodu i biorąc ją w kleszcze. Wyprawa wiedeńska była wyrazem prostego instynktu samozachowawczego i solidarności krajów zagrożonych. Że ją przedsięwzięto — to było spełnieniem obowiązku. Że ją przedsięwzięto z tak świetnym wynikiem — to już była zasługa, — to już był dowód zarówno wybitnego talentu króla, jak wcale jeszcze nie małej zdolności Poski do wielkich wysiłków.

Ale wyprawa wiedeńska — to nie był w polityce Sobieskiego czyn odosobniony, podyktowany naciskiem zewnętrznej konieczności. To był fragment przemyślanej i przez długie lata wytrwale przeprowadzanej polityki. W swoich tak długich i tak uporczywych wojnach z Turcją Sobieski stawiał sobie nietylko cele obronne: obronę przed dalszemi postępami tureckiej ekspansji, czy choćby odzyskanie Podola. Miał on na widoku cele ofensywne: przyświecał mu plan pokonania i odepchnięcia Turcji — i urządzenia kwestji wschodniej w myśl interesów Polski. Tkwiło w tem od tak dawna rysujące się przed oczyma, a tak wciąż nieziszczalne marzenie o dostępie do morza Czarnego. Był to program realny, a śmiały, — godny wielkiego króla, i wielkiego, żyjącego jeszcze mocarstwowemi ambicjami państwa. Polityki w tak wielkim stylu potępiać się nie godzi.

Polityka Sobieskiego pozostała naogół bez większych wyników. Sobieski nie zdołał już ze słabnącego organizmu politycznego Polski wykrzesać wysiłków trwałych i systematycznych, do osiągnięcia trwałych wyników nieodzownie potrzebnych: conajwyżej udawało mu się doprowadzić do zdobycia się na większy wysiłek chwilowy. Ostatnie lata upłynęły mu w zgorzknieniu i zniechęceniu.

Ale nawet mimo tych niepowodzeń — polityka Sobieskiego mogła się była stać podwaliną dalszych, uwieńczonych powodzeniem wysiłków, gdyby zdobyła sobie była odpowiednich kandydatów. Ale kontynuatorów takich nie stało. Czasy Sobieskiego — to jest ostatni okres w dziejach dawnej Rzeczypospolitej, w którym polityka polska miała jakiś sens, — miała rozumne i niezależne kierownictwo. Po śmierci Sobieskiego — nastał dwuwiekowy okres rozkładu i upadku, w którym albo nikt polityką polską w sposób systematyczny, trwały i konsekwentny nie kierował, albo też kierownictwo tego, co za politykę polską uchodziło, znajdowało się w ręku masonerji i innych tajnych związków, działających w interesie wrogów Polski (głównie Prus). Dopiero w dwieście blisko lat po śmierci Sobieskiego niezależna i w wielkim stylu pomyślana polityka polska odrodziła się na nowo: była to polityka obozu wszechpolskiego i jego przywódcy, Romana Dmowskiego.

Czy Sobieski rozumiał rolę tajnych związków? Możliwe, że nie. Możliwie nawet, że czasem, w skutek braku orjentacji w ich dążeniach, uczynił to i owo, co im było na rękę. W zasadniczej jednak swej postawie był od tajnych związków najzupełniej niezależny. A nawet, jako król do gruntu katolicki, był niejako uosobieniem dążeń, dążeniom tajnych związków przeciwstawianych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Dalsza część rozdziału „Załamanie się dążeń mocarstwowych i upadek państwa", stanowiącego początek obszernej pracy Jędrzeja Giertycha, której druk rozpoczęliśmy w 13 nr. „Głosu".
**) Op. cit. str. 196.

DOŻYNKI LITERACKIE

Tak, właśnie dożynki*). Bo poetów można przyrównać do ziemi. Najbujniej rozkwitają i owocują w lecie, z nadejściem jesieni jałowieją i wałęsają się bez celu, niby te liście tetmajerowskie, ziewając mgłami spleenu i gubiąc prątki siwizny, na którą sobie zasłużyli grzechami lata. Lato bowiem uchodziło zawsze za porę, sprzyjającą twórczości artystycznej.

Niech dowodem będzie chociażby taki wiersz:

„Miedzą przypływa strumień Twych kroków, uśmiechów i spojrzeń
w mroku miłosnych tajemnic palę Ci oczy, jak race —
wiatr zmywa henną sadów Twe włosy, wplątane w zboże,
idziesz naprzeciw serca, by je o szczęście wzbogacić.

Żyjemy prosto i skromnie. W podwórku na nas zarabia
krowa o smutnych oczach, gderwliwa, jak matka kwoka,
ja mieszam z pachnącym ogniem jajka, królewski nabiał,
Ty dajesz na dłoni, jak serce, chleb wypiekany w obłokach.

Nocą zakwita kolorowy ogród semaforów,
pociągi rozwożą rosę i oddech pól nienazwanych,
księżyc rozlewa gołoledź na ścieżkach, torach, nie-torach —
gdzieś kląska ptak gwiazdami kamienowany..."

Dlatego to Lombroso w dziele swojem: „Genjusz i obłąkanie" apeluje do historyków, by dali spokój opisywaniu nikczemnych bitew, a zajęli się raczej badaniem pór, w jakich powstawały wielkie dzieła.

Że ziemię trzeba nawozić, o tem wie każdy rolnik. Lecz na poetów teżby się przydał jakiś superfosfat, o czem nie wie zdaje się Akademja Literatury. Ja sam nie zdaję sobie dokładnie sprawy, jak należy artystów użyźniać, myślę, że i kalendarz rolniczy nieby nam w tej materji nie poradził: pozostaje więc sięgnąć do tradycji.

Maupassant np. napisał „Piotra i Jana" pod wpływem eteru. Według Bierre'a, gdyby nie dementia paralitica Nietsche nie stworzyłby Zaratustry.

Voltaire, Walter Scott, La Fontaine tworzyli we śnie swoje koncepcje twórcze.

Rzeźbiarz Redin zapijał się absyntem i wykonywał akrobatyczne ćwiczenia przed zabraniem się do pracy.

Fra Angelico przygotowywał się długiemi postami i modlitwą do swoich kompozycyj religijnych.

To wszystko par excellence wielcy twórcy. Możnaby za ich przykładem obdzielić i naszych poetów pewnemi przypadłościami organicznemi lub przynajmniej zaaplikować im jakieś nieszkodliwe używki, przynajmniej na jesień, kiedy ich potencja twórcza słabnie.

I tak: naszej znakomitej poetessie, P. Pawlikowskiej przydałaby się lekka, ale chroniczna influenca z 40 stop. gorączką: możeby w tej temperaturze jej klasyczne wiersze nabrały trochę ciepła.

P. Irzykowskiemu zaleciłbym 10 kg wanilji na każdą librę spisanego papieru dla osłodzenia zmartwień, spowodowanych edukcją „Banjaminka", Mirjam powinienby zapaść na kilkuletnią Heine - Medina, możeby mu się we śnie objawiła nowa interpretacja Norwida.

Boy, który się stale i wszędzie spóźnia ze swojemi nowinkami literacko - społecznemi (poza Polską, która zawsze z postępem na niego czeka), mógłby przejść dwuletni kurs szkoły hotelarskiej.

Już widzę, jako echo moich słów, wyłaniający się z P. A. L. „komitet dla spraw eugeniki literackiej".

Poza temi medyczno - chemicznemi specyfikami na niedomagania twórcze poetów jest jeszcze jedno lekarstwo niezawodne, mianowicie: zainteresowanie się ich twórczością. Wprawdzie Schopenhauer powiedział, że ‚woli, by robaki stoczyły jego ciało, niżby filozofowie mieli nagryzać jego filozofję", ale zdanie to można uogólnić tylko na Schopenhauera.

„Sobie śpiewam, a Muzom" napisał Kochanowski; szlachcic wysadzony z ambony obojętnością kulturalną swego klanu. Kochanowski - demokrata nigdyby tak nie powiedział.

Poeci chcą być słuchani i znani!

A z tem słuchaniem poetów jest dzisiaj coraz gorzej.

Na oficjalną cyfrę stu patentowych poetów, 30 proc. zaledwie wydaje swoje utwory, reszta, że tak powiem, lumpuje się po czasopismach, które znowu w przeważnej części są konfiskowane.

Młody narybek poetycki, starając się jakoś zaradzić zastojowi wydawniczemu, wydaje zbiorowo swoje poezje, lub poprostu rozpisuje wśród znajomych subskrybcję na tomiki: coś w rodzaju pożyczki inwestycyjnej.

„Le genie c'est une longue patience" — tak było zawsze, ale dzisiaj nawet najprzeciętniejszy poeta cierpi, jak trzech genjuszów razem.

Tak więc dzisiejszy poeta, to trochę spekulant. Osławiona niezaradność życiowa należy do przykładów literatury pięknej.

Voir pour prevoir! Poeta dzisiejszy jednoczy w sobie doskonale wrażliwość artystyczną z czujnością powiedzmy kupiecką. Nauczyło go tego życie i nowe formy socjalne, które nie przewidują specjalnych przywilejów dla stanu poetyckiego.

Bo dawniej uchodzili poeci za półświętych i półwarjatów.

„Nullum ingenium sine mixtura dementiae fuit". Dzięki temu powiedzonku szwarcowali poeci przez kilkanaście wieków swoje lenistwo, zajmując w służbie państwowej zawsze rubrykę „ponad kontyngent", a na ciele społeczeństwa tworzyli niejako narośl dobrotliwą, skąd lokalni filozofowie startowali w stratosferę metafizyczną.

Obecnie klasyfikuje się poetów, jako obciążenie dziedziczne społeczeństw.

Przyczyną zobojętnienia dla poezji i poetów jest między innemi zmalenie kultury żywego słowa.

Grek potrafił wysłuchać trzech tragedyj i jednej komedji, siedząc na skalistej ławie teatru Dionizosa, nie mając nawet samowaru na herbatę, ani kołnierzyka na zmianę.

Nasza publiczność teatralna jest nieraz mniejsza liczebnie od obsady sztuki i nierzadko zachodzi poważny dylemat, kto kogo zwabił do teatru aktorzy publiczność, czy vice versa.

Albo czyż jest do pomyślenia w dzisiejszych czasach taki rozkoszny obrazek: zapach bobu, rybna woń Kefisu, rozgorączkowane twarze i przygodny mówca krytykujący politykę Peryklesa, albo wyuzdaną modę Aspazji?

Tak więc życie idzie swoją drogą, a poeci swoją. Poeci rozczytują się w swoich własnych utworach. Każdy z nich jest zarazem kuchmistrzem i stołownikiem: co sobie „upitrasi" na kuchni poetyckiej, to zje i zawsze mu smakuje.

Na szczęście jeszcze płeć biała chroni piękno żywej mowy od kompletnej dewaluacji. Kobiety są tym rezerwatem, gdzie język sobie hasa nieskrępowany, niby mustang po prerjach amerykańskich, ze swobody czerpiąc wigor i krzepkość.

Nie zamierzam bynajmniej przemycić w tem zdaniu zarzutu pod adresem gadatliwości kobiet. Kobieta używa języka tylko w celu napaści i obrony, a że życie to walka, więc nic dziwnego.

Zasługa kobiet w konserwowaniu kultu żywego słowa polega przedwszystkiem na słuchaniu. Jeszcze kobiety umieją słuchać poezji. Im czulsza membrana, tem dźwięczniejszy resonans, im wrażliwsza kobieta, tem piękniejszym, subtelniejszym językiem trzeba do niej przemawiać. Trud się opłaci. Można jeszcze zdobyć wierszem miłość kobiety.

Prawdę mówiąc, to 300 lat temu były takie naiwne panie, do których dostęp był tylko przez sonet lub misterny madrygał. Zapewne, wtedy też były takie panie, ale dzisiaj też są. Jako dowód mam wiersz:

„Wieczór dął cichy w gwiazdy, Wisła płynęła cieniem;
na trzecim moście się spotkał pan w jasnych spodniach z marzeniem.
„przygody szukam w Twych oczach, jak na dalekich morzach,
wniobowstąpiłem rymem a biodrom Twoim tworzę.

Kocham! Rzuć oczu spojrzeniem most najśmielszym pragnieniom
wejdź w domek moich wierszy, jak imię, jak rym, jak poezja,
po polach tęsknoty się włóczą myśli owiędłe z natchnienia,
godziny przelewam w kieliszki — żądzom noc daję do zwierzeń . . .

Rozbudowałaś się we mnie, jak wielki, gotycki kościół
gdzie mszę odprawia szaleństwo, czytając płci Twojej Koran.
Przegrałem, bom Cię przezłocił, bom Ciebie wyobłoczył!
Zostaniesz najpiękniejszą o szczęściu metaforą".

Na marginesie szarej rzeczywistości bez blagi i idealistycznych bluffów chodzi sobie po staremu miłość w oparach mistyczno - romantycznych i chociażby poezja stała się z czasem zupełnie niepotrzebną, to jednak w miłości jej królowanie wiecznotrwałe. Bo tylu poetów, ilu zakochanych.

Mimo to wierzę, że zlokalizowanie pożaru poetyckiego wyłącznie na przybytkach Wenery nie nastąpi.

Mimo, że poezja ma tak mizerny udział w kulturalnem życiu inteligencji, liczba poetów przecież ciągle wzrasta. Warto chociażby mimochodem zastanowić się nad przyczynami tej nagminnej epidemji poetyzowania. Esteta francuski Dubos powiada, że „poezja rodzi się z dążnością człowieka do spotęgowanego odczucia władz duszy przez wprawianie ich w przyjemną czynność".

Cytat ten w zestawieniu z dzisiejszemi warunkami tworzenia zakrawa na ironję, pominąwszy zakonspirowaną w nim reklamę i rehabilitację grafomaństwa.

Mnie wzrastająca nieustannie liczba ludzi pióra wydaje się wysiłkiem podświadomym stworzenia nadbudówki ideowo - metafizycznej dla dzisiejszej rzeczywistości, którą cechuje pewna jałowość ideowa.

Artysta musi być ciągle sympathiquement excite, jak powiadaSully - Proudhomme: również jaźń poety rozwieszona nad życiem, jak antena potrzebuje ciągłych dreszczy, ciągłych fal . . .

Brak idei konsolidującej społeczeństwo, zastępowanie jej doraźnemi hasłami państwowotwórczemi, zubożenie gospodarcze, pauperyzacja kulturalna, bezrobocie, oto mojem zdaniem powody, że ludzie „wprawiają swe władze duchowe w przyjemną czynność".

Temi argumentami odparłbym również zarzuty stawiane poezji, że ma za krótki oddech, że jest poezją naskórka, że ubóstwo treści pokrywa wyrafinowanie przeintelektualizowaną formę, której często nie rozumiemy, że gubi się w opisywactwie prywatnych, ekskluzywnych przeżyć, że nie umie sobie znaleźć porywającego tematu. A temat przecież jest! Wielki temat! Tak, jest. Ale narazie nie da się ująć w szablon znaków pisarskich. Wisi nad nami niby ta chmura mistycznej mgły, przytłacza nas swoim ogromem, absorbuje nasze twórcze tęsknoty, atoli długo jeszcze trzeba czekać zanim z tej mgły wyłoni się tak oczywiście piękno, niby ta homerycka różanopalca Jutrzenka.

„Piękno jest rzeczą trudną", to słowa Platona.

Poeci nasi nie boją się tego trudu. Czekajmyż więc cierpliwie, aż wyrąbią w egzotycznym lesie nowatorstw polską ścieżkę. A tymczasem pomóżmy im! Pomóżmy im w nadbudowie tego drugiego piętra irracjonalnego. Rozprzestrzenienie płuc poetyckich jest naszem zadaniem.

Wykonamy je, gdy dopuścimy naszych poetów, szczególnie tych młodych błędnych rycerzy poetyckich uniesień do mikrofonów, dzienników, gdy wydamy miesięcznie złotówkę na ich szare, niepokaźne tomiki, gdy wreszcie talent a nie podejrzane protekcje staną się biletem wstępu na polski Helikon. Jeśli to uczynimy, nasi poeci skrzepią się w sobie i staną odważnie do podjęcia wielkiej poezji godnej wielkiego narodu.

K. B., KRAKÓW.

*) Pogadanka literacka, wygłoszona w radjo katowickiem w dniu 29. X. br.



Fot. J. Bułhak, Wilno.

Aleja w parku.

NASZE REPORTAŻE

W Nowogrodzkiej stronie

Jeżeli kiedykolwiek uwieńczy ci czoło smutek, jeżeli chwyci cię za gardło ból nieodparty — mówił przyjaciel, a oczy jarzyły się mu przedziwnie — to idź wtedy na gościniec twej ziemi i siądź cichy na mogiłach zapomnianych, a otoczą cię duchy i szeptać ci będą o kraju, w którym jest smutku pełno i złorzeczeń ludzkich. Zrozumiesz wtedy — ciągnął dalej, że idea nam potrzebna, która rozpłomieni serca i porwie do czynu, tkwi w ziemi ojców. Może przyłożywszy ucho, usłyszysz jej tętent! Idź!



Ruiny zamku w Nowogródku.

Zostałem sam. I wielokrotnie, w ciche wieczory, te słowa wracały do mnie, hypnotyzując, jak kantowski imperatyw. Szły, jak cień, ścigały każdy krok. Aż wiele dni temu wstecz, porwałem kij pielgrzymi i ruszyłem. Odtąd wolny — byłem niewolnikiem.

*

Pewnego słonecznego dnia stanąłem w Nowogródku — a w uszach brzmiał mi jeszcze stukot pociągu, po kilkudziesięciu godzinach męczącej podróży. Byłem szczęśliwy — szczęściem człowieka, wracającego na szlak, który stał się mu żywiołem niezastąpionym. Stanąłem znów z drżeniem nad księgą życia tajemniczą i, kartę tytułową odwróciwszy, czytałem: „Nowogrodek".

Przez pryzmat serca czułem tęsknotę umierającego gdzieś hen w Konstantynopolu, Olbrzyma — i widziałem oczyma duszy jego ręce wyciągnięte: „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych. Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem!". Szedłem, wieszczowym śladem, do murów dominikańskich, gdzie biegał, — jako swawolny chłopiec, do igr, psot i nauki zdolny.

Po chwili już byłem pośród ruin zamczyska. Dwie baszty surowe, bodły strop wybłękitniony, wyszczerbionemi blankami — naokoło panowała cisza. Daleko lasów ciemna ściana mówiła mi o nalibockich matecznikach. Obok zaś, przed wiekami, legat papieski nakładał na skroń Mendoga koronę (1252 r.). Litaworowe dzieje i dzielnej Grażyny błyskawicowo przeszyły pamięć. Z zadumy wyrwał mnię znany bliski dzwon, to w nowogrodzkiej farze zadzwoniono. Ten sam dzwon, który ongis barwny i zbrojny tłum przybyły na sejmiki i roki trybunału wzywał.

Biała fara przysiadła u stóp zamkowej góry. Jakiś nieznośny wandal, których wielu w ziemi lackiej, ponoć „odnowił" jej wnętrze, zniszczywszy cały uroczy archaizm XVI stulecia; a piękny nagrobek Jana Rudominy i towarzyszy, którzy zginęli w przesławnej chocimskiej potrzebie (1621 r.), boleśnie kuli się w kącie, nierozumiejąc barw, któremi został otoczon.

Szedłem dalej. Wskazano mi chatę mułły tuż obok meczetu, na którego wieżyczce błyszczał półksiężyc. Zapukałem do drzwi. Otworzono, zapraszając gościnnie. Oczom przedstawił się widok osobliwy. Gromada skośnookiej dzieciarni uczyła się mozolnie koranu. Arabska mowa brzmiała dziwnie i pociągająco. Prosiłem, by smagły chłopczyna nie przerywał głośnej lektury pod wskazówkami nauczyciela. Siadłem na ławce, i w zakamarkach pamięci odkryłem wielkiego Juljusza słowa (Beniowski, pieśń VII), tak bezpośrednie dla tej chwili:

„są to odawna zagnieżdżone ptaki
w Litwie: lud prosty, lecz jeszcze oracza
pozłota wschodnia trzyma się — i znaki,
które na twarzach rycerstwo wytłacza,
widome dotąd, z wieśniaczego lica,
błysną jak krzywych mieczów błyskawica.
Gdy ostrzy kosę taki Tatar stary,
to nieraz stanie i w dźwięk się zasłucha;
sosny mu wtenczas szumią jak sztandary,
a chmury w oczach, jakby skrzydłem ducha
Mahometańskich wojsk pędzone mary,
idą na połnoc; a gdy kosa krucha,
osełką tarta, na puszczę zabrzęczy —
Allach! il Allach! z puszcz jak echo jęczy.

W Tatarze wtenczas jak w ognistym ptaku
palą się oczy — stepy przypomina
i słone jakieś jeziora Kipczaku,
o których tylko wieść z ojca na syna
przeszła po mglistym i tęczowym szlaku**).

Potem odwiedziłem skromny meczet z okienkiem przy kazalnicy, zwróconym do Mekki — do grobu Proroka.

20 kilometrów na południe od Nowogródka, skręciwszy z szosy rzuconej, jak wstęga biała przez kraj malowniczy — dostałem się do Cząbrowa. Brama na wciąż otwarta, jak przed wiekiem, która przechodniom ogłasza, że gościnna. Tak jak przed laty, stał dwór szlachecki, z drzewa lecz podmurowany, świeciły się zdaleka pobielane ściany. Soplicowo. Jakże niezwykłą była tęsknota Wieszcza, jeżeli w kilkanaście lat po opuszczeniu kraju z tak fotograficzną ścisłością opisywał ten zakątek! Jakże wielką była jego miłość! Szukałem Zosi — jej nie było. Obok dworu — oficyna, tam gdzie spał Tadeusz, trochę może pochyliła się ku ziemi.

„Słońce w otwór, co śród okiennicy
wyrżnięty był w kształt serca, wpadło do ciemnicy
słupem ognistym, prosto sennemu na czoło"

wiecie co dalej.

„Niedaleko od okna był parkan od sadu
Na nim chmielowe liście i kwieciste wieńce
chwiały się, czyje je lekkie potrąciły ręce?"

Gdy byłem, to wieczorny wiatr je tylko muskał. Smutno.

O dworze soplicowski! Jeśli dotąd całe świecą się pod lipami twoje ściany białe . . . pewnie tam piją często za Konewki zdrowie, bez niego jużby było dziś po Soplicowie! Dank ci serdeczny składam Konewko - Dobrzyński, że to co czytałem i widziałem w wyobraźni, mogłem oglądać oczyma. A dalej:

„Zaiste okolica była malownicza.
Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza,
jak para kochanków . . . tak jak dziś.
„Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi
jak stary opiekun, co kochanków śledzi
podsłuchał ich rozmowę, gniewa się, szamoce"...
tak i dziś.

Dalibóg wszystkie opisy z Pana Tadeusza, trzeba byłoby przytoczyć, tak są wierne. Rzewnie się żegnać z dobrymi znajomymi.

Słońce stoczyło się za lasy. Pachniało nocą. Skrzypiał piasek miażdżony pod stopami. Zakwilił czasem ptak wśród puszczy skargą jękliwą. Myśli biegły hyżo przedemną. Nagle ujrzałem roztocz Świtezi jeziora, u Płużan ciemnego boru. Zatrzymałem się oczarowany. Właśnie księżyc wypłynął na wygwieżdżony firmament, rzucając na jezierne lico swą poświatę tajemniczą. Wodnice i świtezianki powstały z wód topieli, by uczcić nieziemską wizją Przedwiecznego. Świat naokoło był potężny w swej harmonji kosmicznej. U ramion urastały skrzydła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ADAM MARCINKOWSKI, LUBLIN



Cząbrów - Soplicowo.

*) Tatarzy, sprowadzeni przez Witołda na Litwę około 1400 r., obdarzeni następnie za czasów dawnej Rzeczypospolitej pełnią praw i swobód (szlachectwo), do dziś dnia rozrzuceni na terenach województwa wileńskiego i nawogródzkiego w liczbie kilku tysięcy (19 ośrodków), spolszczeni kompletnie — pozostali wierni religji ojców i są bardzo przywiązani do islamu. Dziwnem się nieco wydaje, że Adama Mickiewicza, który musiał się z nimi niejednokrotnie zetknąć w dziecieństwie i młodości — nie pociągnęła ich swoista egzotyka, jako temat.



„Ul. Klasztorna“ Alojzy Krakowski (II nagroda na konkursie graficznym „Kurjera Poznańskiego“.

JUDAICA

Harandyzm

Przed rokiem przeszło, w czasie gorętszych trochę dni dla żydów niemieckich można było zaobserwować w prasie całego świata liczne, inspirowane przez żydów artykuły, wołające o pomstę do nieba z powodu „prześladowania narodu wybranego“.

Ale to żydom nie wystarczyło. I dlatego znaleźli się w Wiedniu obrońcy „dobrej sprawy“, z niejaką Ireną Harand na czele, którzy zainicjowali ruch, mający na celu obronę ludów i ras prześladowanych.

Rzecz jasna, że jedyną rasą „prześladowaną“, o której „prawa“ walczą harandyści (taką bowiem nazwę przyjęli ludzie z pod znaku pani Harand), to żydzi. Widać to zresztą chociby ze środków, jakiemi dysponuje ten nowy ruch „społeczny“. Wspomagani hojnie przez finansistów żydowskich, harandyści wydają własne pismo pod nazwą „Gerechtigkeit“, na którego pierwszej stronie widnieje pompatyczny frazes „Przeciw nienawiści rasowej i nędzy ludzkiej“. Jest to naprawdę tylko frazes, gdyż cała treść świadczy o krzykliwej i nikogo nieprzekonywującej „obronie narodu wybranego“. Mamy więc w tej „Gerechtigkeit“ płomienne artykuły p. Harand, atakujące ostro hitleryzm, mamy potępienie wszelkich wogóle ruchów nacjonalistycznych, mamy wyciągi i cytaty z... talmudu.

Nie zajmowalibyśmy się zresztą tą całą szopką żydowską, gdyby nie fakt, że harandyści postanowili zaszczepiać także i Polakom swe „szczytne“ hasła i poglądy. W tym też celu zaczęli wydawać „Gerechtigkeit“ po polsku p. n. „Sprawiedliwość!“.

W jednym z numerów tego pisma zamieszczona jest deklaracja harandystów, z której wyraźnie widać kto cały ten „ruch“ inspiruje.

> „Harandyzm — czytamy tam — walczy przeciw szaleństwu (!!) rasowemu, przeciw barbarzyństwu a n t y s e m i t y z m u i spowodowanym przez niego niesprawiedliwościom(?!)... zwalcza nienawiść, ciemnotę, oszczerstwa i przesądy... rozszerza idee wzajemnego zrozumienia, wzajemnej pomocy i miłości bliźniego...“ (podkreślenia i uwagi w nawiasach aut.).

Rzecz naturalna, że solą w oku dla harandystów są ruchy narodowe, dążące do usunięcia elementu żydowskiego z granic własnego kraju. Nacjonaliści to — według harandystów — „truciciele ludu“ (?!). Ruchy zaś narodowe powinni zwalczać przedewszystkiem ... katolicy (?). Dlaczego? Niewiadomo, ale fakt faktem, że nie sami żydzi, ale właśnie ci, których oni zwalczają, mają stanąć w ich obronie.

Ale najciekawszym dokumentem w polskiej „Gerechtigkeit“ jest artykuł „Żydzi w Polsce“. Anonimowy autor rozwodzi się wpierw nad tolerancją królów polskich i nad wpływem historjozofji żydowskiej na... Kochanowskiego, Skargę (!), na mesjanizm Mickiewicza itd. Podkreśla „bohaterstwo“ żydów, walczących o wolność Polski.

Następnie wymienia szereg głośniejszych artystów i pisarzy żydowskich i żydowsko-polskich. Z ciekawszych postaci, do których żydzi się przyznają, warto przytoczyć Kleinera, Biegeleisena, Michała Bałuckiego, Bolesława Leśmiana, Henryka Wieniawskiego (muzyka), Maurycego Gottlieba (malarza) i in.

Najcharakterystyczniejszym jednak jest w tym artykule ustęp, w którym jest mowa o przechrztach. Przytaczamy go dosłownie:

> „Że niektórzy z nich (mowa o twórcach żydowskich — przyp. aut.) porzucili potem wiarę ojców, nie umniejsza w niczem faktu, że w ł a ś n i e i c h d u c h s p e c y f i c z n i e ż y d o w s k i wpłynął w znacznej mierze na rozwój umysłowości polskiej i to w duchu pozytywnym“.

Jasno więc wynika z tego, że zmiana wyznania nie wpływa zupełnie na zmianę psychiki żydowskiej, co zresztą jest rzeczą zupełnie zrozumiałą.

Te dwa wycinki z pisemka harandystów charakteryzują „ruch“ ten wystarczająco. Obłuda, oszczerstwa i fałsze żydowskie, zawarte w artykułach polskiej „Gerechtigkeit“, na nic się nie zdadzą, bo społeczeństwo polskie jest na tyle uświadomione, aby przez zasłonę harandyzmu wyczuć machinacje żydowskie. Na zły grunt trafiła pani Harand ze swą gwardją!

JANUSZ PATALONG, POZNAŃ.

Pod światło...

Chińska rzeczywistość

W interesującej pracy „Za Chinami stoi Moskwa“ (oryginał po niemiecku wydany w Wiedniu w roku 1932) szkicuje Gustaw von Kreitner szereg ciekawych rozważań na temat położenia wewnętrznego dzisiejszych Chin.

Uwagi te są niezmiernie charakterystyczne.

Chiny, zdaniem Kreitnera, staczają się w przepaść. Cytuję dosłownie:

> „Chaos panował wszędzie. Koszty katastrofy (mowa o nieprzerwanej, długoletniej wojnie domowej) ponosił lud, wyczerpany, ograbiony, znędzniały, wyzuty z praw“, (str. 64 tłum. polsk.).

Na dzień 1 sierpnia 1928 r. Czang-Kai-Shek „zwołał do Nankinu konferencję Khomintangu“ (partji rządzącej). Po długich targach zdołał on „skleić niezbędne quorum i przystąpić do obrad“ (str. 135). „Quorum miało ważniejsze sprawy“, niż dola niezliczonych miljonów ludzi.

> „Rozważano właśnie kwestję wybudowania monumentalnego mauzoleum Sun-Jat-Sena (twórcy republiki chińskiej) w Nankinie i przeprowadzenia wspaniałej alei do projektowanego gmachu, koszty miały wynosić około 50 miljonów dolarów. Tymczasem z za wszystkich węgłów wyglądała nędza i rozpacz. Quorum niemiało żadnego zrozumienia dla tych spraw. 15 sierpnia (1928 r.) wybrano komisję ustawodawczą do opracowania nowej konstytucji; w ciągu kilku tygodni przedyskutowano ustawę. „W październiku 1928 r. ogłoszono ją“. (Str. 136).

Na podstawie tej nowej ustawy odbyły się wybory do kongresu (parlamentu).

> „Ponieważ ludzie nastrojeni opozycyjnie wobec rządzącej kliki woleli nie brać udziału w kongresie, przeto zjechali się sami swoi, którym obca była wszelka myśl o krytykowaniu istniejących porządków“. (Str. 138).

Tyle mówi von Kreitner o „rzeczywistej rzeczywistości“ Chin.

ADAM MARCINKOWSKI, LUBLIN.

Hapensztand i poloniści

Z okazji XV-lecia Koła Polonistów stud. U. P. odbył się w Poznaniu w dniach 22—24 listopada zjazd polonistów ze wszystkich środowisk akademickich, poświęcony St. Żeromskiemu i Wł. Reymontowi, oraz zagadnieniom teorji literatury.

Tak się złożyło, że zjazd ten przypadł na okres manifestacyj antyżydowskich na uniwersytetach.

Zdając sobie sprawę z następstw, a widocznie dla prowokacji narodowej młodzieży akademickiej Poznania, deleguje na zjazd warszawskie Koło Polonistów żyda Dawida Hapensztanda, aby wygłosił referat w samym dniu otwarcia zjazdu.

Jak można było przewidzieć nie dopuszczono p. Hapensztanda do głosu w murach U. P. Jednakowoż żyd-polonista znalazł opiekuna w postaci p. dr. Troczyńskiego i „rzecz się miała“ prywatnie na gościnnym podwórku pana doktora. Pouczał kolega magister Dawid kolegę doktora o „Zarysie programu socjologicznego literatury“. Prywatne dyskusje okazały się niewystarczające dla ambicyj p. Hapensztanda, więc wespół z asystą warszawskich kolegów opuścił na znak protestu Poznań, ubolewając, że jego referat „nie może się odbyć na równych prawach z innemi referatami“. Tę „nierówność praw“ niezbyt głęboko przemyślał p. Hapensztand, wybierając się z referatem do Poznania, dopiero tu na podstawie autopsji rozjaśnił sobie umysł w tym kierunku.

Epilog tej żydowskiej wyprawy polonistów warszawskich na Poznań znalazł miejsce na łamach „Wiadomości Literackich“ (nr. 629), dokąd ci protestujący żydo-poloniści udali się z płaczem na skargę. I mają tam coś do powiedzenia o niezależności nauki i etyce naukowej, na łamach pisma, które najmniej ma prawa do wydawania sądów w tej materji, zważywszy destrukcyjne cele tego organu na polu kultury narodowej.

Sąd o etyce naukowej w Polsce, tak jak nie należał, tak i nie należy do kompetencji różnych Dawidów Hapensztandów, ani do „Wiadomości Literackich“, mimo, że mają dotychczas jawne do sądzenia pretensje. Ich amoralność talmudyczna, sposoby polemik, oparte na fingowaniu faktów i szkalowaniu przeciwnika, mają w sobie coś z łobuzersko-tchórzowskich wyzwisk jakie się rzuca z za węgła — a węgłem zawsze „Wiadomości Literackie“.

Ku uwadze polonistów poznańskich przypomnę, że nikt inny tylko poznańscy żydzi złożyli 50 lat temu ofertę do rządu pruskiego, w której podejmowali się germanizacji Wielkopolski. Większymi byli germanizatorami niż sami Niemcy. I gdyby nie ofiarna, gorącą miłością Polski nasycona praca Samarzewskich, Mielżyńskich, Wawrzyniaków, Marcinkowskich, kto wie, czy Wojciech Bąk pisałby trawa, wiatr a nie Grass czy Wind. „Tylko dlatego“ tak nie jest, że starsze pokolenie miało większe zrozumienie dla kwestji żydowskiej niż dzisiejsi panowie poloniści.

J. TOM.

(Dokończenie ze str. 2).

Obywatelstwo akademickie

Robi się młodzieży zarzuty skrajności i radykalizmu. Tak, to prawda, z reguły młodzież jest radykalna, obojętna w jakim kierunku: społecznym, narodowym, religijnym, ustrojowym, — na prawo, czy na lewo! Ale nie obawiam się tego radykalizmu: jest on naturalnem następstwem młodości, gorącego czucia, pragnienia czynu i rozmachu. Młodzież widząc zło, chce je naprawić, widząc braki — uzupełnić, nawet dobro udoskonalić, a że jest pełna życia i energji, pragnie działać szybko, gwałtownie, szeroko, chce skutków doraźnych, zasadniczych. I dobrze, że tak jest, wszak ten rozpęd, byle nie zniechęciły i nie wstrzymały całkiem. Trwożliwi zapominają głębokiej myśli tegoż samego J. Szujskiego, przekazanej jednemu z uczniów: „Kto w 20-tym roku nie był rewolucjonistą, ten w 40-tym łatwo będzie lokajem“.

Chodzi o co innego. Chodzi o to, by dla celów „polityki“, czy jakichkolwiek innych, nie zaniedbać zasadniczych zadań studenckich, jak najgruntowniejszego przygotowania się do zawodu, do objęcia stanowisk trudnych i odpowiedzialnych, bo kierowniczych. Niebezpieczeństwo duże, bo jeśli te główne zadanie zejdzie w cień, może nastąpić albo wykolejenie o nawet rozbicie, albo, co może jeszcze gorsze, formalne przepchanie obowiązków bez wewnętrznej jednak treści, więc pustka duchowa i dyletantyzm. Tego strzec się winna młodzież, pamiętać o tem jej przywódcy. Należy więc pozytywnie ustosunkować się do tego zagadnienia, nie wykreślać go z programu, lecz należycie rozwiązać.

Czy jednak jest możliwe pogodzenie pracy ideowej, nieraz bardzo absorbującej i denerwującej, za spokojną pracą naukową? Na podstawie własnych doświadczeń mogę odpowiedzieć pozytywnie. Nasze studja akademickie wypadły na czasy bardzo gorące. Na miejscu mieliśmy szybko zlikwidowany epizod niemiecko-żydowski, ale potem poważną, kilkakrotnie wybuchającą sprawę ukraińską. Na dalszych obszarach widzieliśmy zagadnienie cieszyńskie, w tym czasie wypadła mowa malborska cesarza Wilhelma II, sprawa wrzesińska na zachodzie i analogiczne zajścia w Białej, Chełmnie, Hrubieszowie i Siedlcach. Wreszcie rozpoczęła się wojna rosyjsko-japońska na dalekim wschodzie. Wszystkie te zdarzenia, nie licząc pomniejszych i wewnętrznych, czasem nader gwałtownych, nie mogły przecież dla nas być obojętne. A przecież, rzecz charakterystyczna, na siedmiu prezesów Czytelni Akademickiej, jacy w przeciągu tych pięciu lat studjów kierowali życiem akademickiem, z czasem na katedrach uniwersyteckich, wszyscy kończą prawidłowo studja, a czterech (57,1%) wykłada, z sześciu wiceprezesów trzech pracuje naukowo, z tych dwu zdobywa katedry, jeden zatrzymuje się na stanowisku dyrektora gimnazjum, trzech znowu dochodzi wysokich stanowisk w ministerstwach. A więc widać, że można pogodzić obowiązki, była nie marnować czasu, a za odpoczynek, w miejsce błahych przyjemnostek, uważać zmianę rodzaju pracy i tam dawać upust młodzieńczej werwie.

Zadania przed nami ogromne. Współczesna młodzież musi nietylko w najszybszem tempie uzupełnić tak liczne braki niewoli i poprawić błędy powojenne, ale nadążyć za sąsiadami, a nawet ich wyprzedzić. Pola pracy dużo, byle jaknajlepiej do niej się przygotować. Możemy zakończyć słowami Kornela Ujejskiego, które choć tyle lat minęło, zachowały w pełni swą żywotność: „Ktokolwiek nie jest pogardy godnym pasorzytem, wyzyskującym na własną jedynie korzyść trudy i zasługi pokoleń dawnych, męki i ofiarną krew teraźniejszych — niech wstaje i niech miesza się w szeregi polskich pracowników. Gdzie spojrzeć, leżą odłogi. Każdy w swoim zakresie według sil i zdolności znajdzie na nich do pracy miejsce — byle chęć była“.

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

„Noc listopadowa“

triumfem teatru krakowskiego.

Prawdziwy urok sztuki teatralnej objawia się wtedy, gdy sztuka jest trafnie odegrana. Trafnie, to znaczy nietylko bez błędów rzeczowych i poprawnie, ale nadewszystko z troską o taką wystawę i przy kunszcie takiej gry, jakie były wizją autory przy tworzeniu dzieła. Skoro dzieło powstało w natchnieniu, inscenizacja jego powinna na sobie nosić znamiona natchnienia. „Noc listopadowa“ jest właśnie dziełem natchnienia wielkiego poety, malarza, historyka, muzyka i patrjoty w jednej osobie. „Noc listopadowa“ jest owocem nieponamowanej fantazji, genjalnej syntezy artystycznej, gdzie twórca skupia wszystkie swoje upodobania i przenosi w baśń, wyrażoną cudną poezją. Wielkie słowa sztuki stworzone są dla echa wspaniałych dekoracyj, szafowanych z rozmachem. Rytmika tych słów prosi się o dźwięk muzyki. „Noc listopadowa“ jest wniknięciem genjusza w sens dziejów Polski, w istotę jej posłannictwa, jest nareszcie tęsknota Polaka do wielkości ojczyzny.

W rocznicę historycznej nocy listopadowej odegrał teatr krakowski dzieło Wyspiańskiego. Odegrał je w natchnieniu, które nie pozwoliło zapomnieć o wszystkich najdrobniejszych szczegółach inscenizacji. Sukces sztuki jest zasługą zbiorową. W pierwszym rzędzie dekoratora — dyrektora Karola Frycza. Dekoracyj takich dawno scena krakowska nie widziała. Posąg Sobieskiego robił wrażenie naturalnego, Stare Miasto było nie gorszą iluzją. Urok dekoracyj podkreśliło nadzwyczaj umiejętne operowanie światłem. Stroje szlachetnie klasyczne, z koturnami włącznie. Sprawny układ scen i stosowne recytacje to zasługi reżyserki w gościnie — St. Wysockiej. Bardzo właściwa muzyka (zwłaszcza przy pojawieniu się Nike Cheronejskiej) była dziełem L. Marczewskiego. Gra aktorów bez zarzutu: odpowiedni patos, właściwe tempo, dobra recytacja. Dobrze podkreślono charakter poezji Wyspiańskiego: patos, muzyczność krótkie, dźwięczne rytmy i słowa, szkicowność sytuacyj. St. Wysocka sugestywnie odtworzyła rolę Pallady, ale na czoło wysunąćby raczej należało Zofję Jaroszewską (Joanna) za jej cudną wymowę i rasowy temperament sceniczny. Wład. Woźnik (w. ks. Konstanty) był bajecznie charakterystyczny jako maska i w grze. Na szczególnej wyżynie stała jeszcze gra: J. Kaliszewskiego (Wysocki), K. Szuberta (Makort), W. Biegańskiego (S. Potocki), W. Nowakowskiego (Chłopicki), J. Karbowskiego (Lelewel i Łukasiński), T. Burnatowicza (Ares), K. Fabisiaka i T. Kondrata (Satyry), A. Matusiakówny (Kora). Wdzięk recytacji wyróżnił Marję Bednarską (Nike Cheronejska).

„Noc listopadowa“ jest dziś bardzo aktualna nietylko przez kult bohaterskiej polskiej przeszłości.

J. BIELATOWICZ.

Z OPERY

Wznowienie „Trubadura“.

Twórczość Verdi'ego posiada niepospolite zalety, które stawiają autora „Aidy“ w rzędzie kompozytorów znakomitych, zasłużonych w historji rozwoju muzyki. Nieprzeciętna łatwość tworzenia, niewyczerpany zasób pomysłów melodyjnych, pięknych w swej szczerej prostocie, przemawiających żywym wyrazem, doskonała znajomość i umiejętność traktowania głosu, dla którego partje operowe są bardzo wdzięczne i efektowne, — wszystko to zjednało kompozytorowi uznanie i popularność niezwykłą w całym świecie.

Był czas, kiedy piosenki Verdi'ego brzmiały wszędzie: zarówno w arystokratycznych pałacach, jak i w skromnych domkach mieszczańskich rozlegały się wyjątki z ulubionych oper, śpiewane i grane przez niezliczone zastępy wielbicieli, którym talent włoskiego mistrza dostarczył niejednej chwili przyjemności i zadowolenia artystycznego.

Nawiązując do „Trubadura“, którego melodje obfitują w piękne momenty dramatyczne, — podkreślić należy, że pomimo niejednolitości między akcją i muzyką, — całość, aczkolwiek dość banalna i prymitywna, wywiera zawsze miłe wrażenie słuchowe dzięki dobrze ujętym partjom głosowym.

Obsada „Trubadura“, którą zaprezentowała poznańska opera, należy do najlepszych, jakie widziałem na większych scenach operowych. Niemało wdzięku i wyrazu włożyła w swą partję p. dr. Zawadzka, panując wprost świetnie nad koloraturowemi przejściami.

P. Woliński był iście prawdziwym trubadurem, wykazując szeroką skalę barw głosowych i umiejętne odczucie swej trudnej roli. Dobrą Azuceną była p. Janowska-Kopczyńska, a reszty głosowych partyj dopełnili pp.: Urbanowicz i Karpacki.

Orkiestra i chóry p. Barańskiego spisały się zupełnie dobrze. Całość — ładnie i starannie opracowana na tle efektownych dekoracyj.

Od administracji

W nakładzie B I B L J O T E K I „G Ł O S U“ ukazały się prace:

Prof. dr. K. Stojanowski: „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie“. Cena 5,— zł. Dr. St. Celichowski: „Wyprawa zbąszyńska“. Cena 2,50 zł. „Jak rozwiązać kwestję żydowską?“. Cena 0,50 zł. Konstantego Dobrzyńskiego: „Czarna poezja“. Cena 1,80 zł.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w administracji „Głosu“.

Prenumeratę za pismo prosimy przesyłać za pośrednictwem przekazów rozrachunkowych, które są do nabycia na każdej poczcie. Ten sposób przekazywania jest bezpłatny.

„Głos“ zamawiać można we wszystkich urzędach i agencjach pocztowych.

Na żądanie wysyłamy egzemplarze okazowe.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅙ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum). w Wilnie — Stefan Łochtin.
Rękopisów nie zwraca się. Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.